Biblioteka UMK Toruń
373716

TYLKO CO Z IGŁY

POWIEŚĆ, ROZPRAWA I GAWĘDA

Z CZASÓW RYCERSKICH

APOKALIPSY

ORAZ

METAMORFOZY POLSKIEJ

Cena: 1 frank.

Sprzedaje się w KSIĘGARNI POLSKIEJ, rue de Seine, 20
i rue de

PARYŻ
W DRUKARNI L. MARTINET
PRZY ULICY MIGNON, 2
1856.

373716

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA W POZNANIU

W. 1136/67

TYLKO CO Z IGŁY.

Jaśnie Oświeceni, Jaśnie Wielmożni, Przewielebni, Wielmożni, Wielebni, Staro i Nowo Zakonni, Sławetni i Pracowici, a nam najmiłościwsi Rodacy tak obywatele Tułacze jak i Włóczęgi!

Przeczytajcie i posłuchajcie! bo to chodzi o waszą skórę, o polaryzowanie się ciepła, światła i magnesu, aby niegadano, że wyście najbogatsi w magnetyzm zwierzęcy, bo to i koty mają; ale w ziemny magnetyzm!

Jak się to stało że ta plecianka świat ogląda, to Bóg sam raczy wiedzieć; lecz tu nie ma co taić; a kto się usmolił, to niech że się obmyje i obetrze; zatém naprędce powiem czytelnikowi tym wybojem z kim ma do czynienia; nim się do ckliwego tułaczego liryzmu dobierze.

Wlokąc się do placu Konkordyi, spotykam znajomego mi szlachcica z Galicy w Tjuleryjskim ogrodzie:

«Moje uszanowanie panu dobrodziejowi! Zkądże to panosko? z cygarkiem; — dobre jakieś, ładnie pachnie, — coś na hawańskie wygląda popiołkiem.

— A czy palisz i pan? To szelmosko tu kosztuje; ja nie wiem jak wy robicie?

— Wdzięczny panu jestem, ale mię głowa boli, późniéj —

— Wychodzę oto, mosanie, ze mszy świętéj; bo co to, to już niech tam sobie jak chcą robią drudzy, a ja po staremu: «oddaj Bogu co jest boskiego, a cesarzowi co cesarskiego.» Bez téj wiecznéj mądrości nie byłoby ładu, mosanie, na świecie, za to ręczę! a wiesz że się też ma troszkę oleju.

— Choć to, prawdę mówiąc, z Panem Bogiem jeszcze łatwiéj, ale wam tam z cesarzami, to podobno kaduczna bieda, o któréj Ś. Paweł jnż dawno pisał, a i Prorocy. Panie! i to nienajlepiéj.

— Powiem ci, łaskawco, że co bieda, to bieda! Z tutejszym, no—jeszcze to jakoś sobie ludzie po trochu dają radę, i pomału, pomału, zobaczysz, mosanie, że on na człowieka wyjdzie.

— Tak pan wróżysz? chwała Bógu! I my też, jak po rozbiciu, radzibyśmy lada deskę chwytać, choćby na nią i nie skakać; jakeśmy robili dawiéj; istne żaby z Jowiszem.

— Bo to jednak i u nas ludzie czasem zgadują, mosanie. Kto narownego konia ujeździ, do grubego zwierza się bierze, przed

373716

polnianką sie nie chowa, większéj żony się nieboi; to i wśród powodzi fal ludowych trzyma rudel i nie drży, i z cygarem na beczce prochu nie zblednie, — hum — łaskawco, nie tak to on, ba i bardzo być musi; jest tam cóś ze skrytego talizmanu, mosanie; czy to, jak u nas mówią, z kręconego rzemienia, co go się ni szczur, ni robak, ani rdza, ani woda, ani sam djabeł nie jima. Jeśli spaść, łaskawco, to już z dobrego konia! ej co tam!

Tak sobie szlachcić pusząc hawańskie cygaro fantazyował.

— To też i my, panie, milczemy, patrzemy i czekamy na co lepszego niedługo; tylko nie wiem jakto będzie. Chrzczą młodego lewka czy orzełka, niechno mu pazurki wyrosną! a dziób mu zżółknie! to i zobaczymy; bo mu stary do gniazda nosi a nosi wyśmienitą piszczę z tureckich gazelek, niemieckich kurcząt i włoskich bażantów. — A już co rośnie to rośnie, panie! niechno się wypierzy, jakto jakieś tam stare Kozaczysko śpiewa, to on wysoko się wzbije, a daleko zaleci! i ku porohom!

— Daj Boże! Ależ to, mosanie, nasze dwa darte orły, czyste zawalidrogi; ni tak ni siak, ani wiedzieć czego się trzymać, ani co ci wolno, co niewolno, ani czego się spodziewać. Ot żyjemy jak nietoperze, bojemy się słońca, nawet własnego cienia; już co tych to chyba sami djabli wiedzą na co Pan Bóg daje i mnoży? a lęgnież się to psiarstwo! patrzno w Rosyi!

— A cóż wy na to, moi panowie; wszakże i was Pan Bóg do parady nie stworzył; toć przecie żyjecie u siebie, trzeba myśleć, robić, nie to, to coś drugiego; ale jak tylko ciągle plecy do kija, a kieszeń do ręki ich trzymacie, to kto winien?

— Łaskawco, nie ma rady, chyba świat się jako odmieni; bo co tu robić? widzisz sam że i w niebie też bez ładu.

— Świat nie wąż, panie, żeby się z każdą wiosną wyleniał, ani wasi cesarze nie rogacze żeby na wasze pokorne prozby zrucali takie dumne konary. Ale świat się wylenia jednak po trosze, po kawałku, gdzie go tylko do żywego zaświerzbi albo i ukąsi; ale jak kto woli skorupę nosić, niżeli ją zdrapać, w nadziei że się to jakoś samo zgoi i wyładnieje; to już trudno z takiém ospalstwem.

— Nie poradzisz niczem, łaskawco; już my to probowali: i petycyj, i sejmów, i skarg, a wszystko na drwinkach niemieckich się skończyło. Sprobowałać demokracya w 46ym r., i pięknieśmy na tem wyszli, wyśmienicie nam zdrapali skórę i głowy.

— Prawda, próbowała demokrcya a wyście nie mogli probo-

wać? To też w tém całe złe i indziéj i u was, że ktoś za was musi; bo żebyście wy sami byli cóś rozumnego, w szczeréj chęci dla Polski i dla wszystkich zrobili; tobyście byli uniknęli i rzezi, i choćby się raz nie udało, toby jednak Europa wiedziała i uznała że u was już tak źle; że trzeba koniecznego ratunku od pożaru większego; i niktby nie krzyczał na demokracyę, tylko na Austrokracyę, jak to dziś robią.

— Jużto, mosanie, taka nasza dola; nie ma jedności nigdzie; a tu jeden oto bije, wywozi, grabi, i jeszcze sobie dytyramby każe pisać że to z miłości dla dobra własnego Polaków robi, że to z uczucia prawdziwie ojcowskiego każe im nadziewać półkaftany jak mużykom; a drugi, ot powiem ci, żeby nas nikt nie słyszał, drze z nas do ostatniéj nitki, pieniądze gdzieś za morze, pono do Kalifornii wysyła, a nam za nie banknoty i różowe cwancygi zostawia, wraz ze swoją także ojcowską miłością dla poddanych w testamencie. Jestże tu logika, mosanie; czy to nie oczywiste łupiestwo? A nam za to miłością płacić, kiedy byśmy woleli żeby pieniądze nam był zostawił, a sukcesorowi miłość choć na ten raz.

— Jednak, daruj panie że pytam, zkąd się u was biorą te dyjamenty co były na expozycyi, i cała Europa je podziwiała i szeptała: « to jednak Polacy żeby chcieli, toby Legiony było za co sformować; zkąd się to bierze na te szumy, dumy i zbytki zacnych polskich familij po wszystkich stolicach, kąpielniach i karciarniach Europy? » Kiedy trzeba było dla biednych kozaków, to rządy odpowiadały: « Ależ poproście waszych rodaków, kiedy tak się szczycą miłością dla kraju, toć to święty obowiązek; my mamy własne ciężary. Macie tu Polaków coby dziesięć milionów w jeden dzień złożyli, bez sprzedawania jednéj śpilki, a to są wojażery, po salonach ich pełno, po téatrach, po balach dworskich, przepuszczają w Paryżu krocie. »

— Słyszałem, łaskawco, ale to znowu inna łapka; to jest pytanie sumnienia. Turban, to jest śliska rzecz! Polska odwiecznie gromiła bisurmanów, i swego posłannictwa, bez krzywdy dla narodu, dla kościoła, dla ludzkości porzucać nie może.

— Rozumiem pana, więc należało jéj z Moskalami bić Turków, za to że oni bili Moskali? Z Turkamiśmy się bili jak było za co, a i to jeszcze nie zawsze za dobrze zrozumiany interes. Dziś kiedy Polski nie ma, a Turcy jedni najszczerzéj radzi by ją wskrzesić, choćby i cóś z własnych prowincyi na ten cel poświęcili; my mamy walczyć tego niby to wroga chrześciaństwa

króre Polski się boi, albo ją rozszarpało? W czyimże to jest interesie, czy nie w Rossyi?

Czyśmy właśnie nie najwięcéj ucierpieli poddając interes stanu tendencyom i uległości wykrzywianych pojęć o tém posłanictwie przez sąsiednie dwory? Inne na ten lep wyraźnie światowy, nie dały się łowić, z bisurmanami się godziły, a dziś ich nawet bronią, i klątwą ich nikt nie śmie dotknąć. Xiążętom wolno religię zmienić dla korony, a Polakom miałżeby kto prawo dzisiaj bronić Turcyi pomagać, i bić się lub dać pieniądze dla ojczyzny?

— Mnie się teżto, mosanie, dziwném także zdawało to bieganie po Europie z żarliwości religijnéj, kiedy o nią wcale nie chodziło; tém bardziéj że widzę i waszego zacnego xięcia i jego siostrzeńca, i tylu inuych dobrych katolików co się Bogu modlą, a jednak radziby bić Moskala. Ja myślę że to prędzéj jaka babska liga kierowana może i zdaleka; bo gdzie djabeł nie poradzi, to wyszle babę w posły, to rzecz znana, że on na babie i dziecko wyprosi — baba żałuje jak już za późno, a zawsze zapóźno już żałować.

Co też u państwa mówiono, lub się spodziewano z téj wojny? jednak to tylko przez granicę, — łatwo było się skomunikować i wysyłać cichaczem młodzież, do czegoście się też gotowali? wszakże to i o was i o kraj cały chodziło, ciekawym?

— Do niczego zgoła nikt się nie brał, bo myśleli wszyscy że gdzie tyle drapieżnych źwierząt i ptaków na chorągwiach, to albo nikomu nic nie dadzą, albo się sami poczubią. Ale cośmy się napłacili, to tylko kassyerom i Bogu wiadome; płać a płać, a tu bankructwo coraz bliżéj karku; dalibóg że na włosku wisiało. Kupili Francuzi od nas drogę, pieniędzy huk wysypali, ale to znikło jak pianka — i już wołają płać! za co? za wojnę — za jaką wojnę? z Moskalami. — Kiedyśmy się nie bili, jak Bóg żywy, kto tu nawet kiedy myślał u nas o wojnie? i do tego nas, łaskawco, dowiedli, i obrali; iż ot człowiek niema za co butelczyny szampańskiego wypić, ani czém sobie przecie na jaki wojażyk, choćby raz w rok czy we dwa, wyjechać, żeby tu też naszych poczciwych Polonusów odwiedzić, — bo na więcéj, to dalibóg dziś nas niestać.

— Moglibyście też i cienkusza sprobować, i na węgrzynie przestać, a macie go dostatkiem i wyborny, nasi starzy pancerni i husarze innego nie znali!

— U nas, mosanie, węgrzyn — tak, jest, i czasém się pije, ale

kiedy to i chłop już go pije — prawda lurę, ale to się to tak teraz pozuchwaliło, że niéma wyobrażenia, co za biéda i z niémi; na najem ci niepójdzie, chyba że mu dasz ile chce. — Ah! niech ich Bóg skarze tych niecnych trybunów — w filantropiją sobie grali naszą pańszczyzną i naszą kieszenią. Człowiek sobie zapracował, choć to prawda po ojcu mająteczek, ależ trzeba się też i między ludźmi pokazać, a Niemcy to tak ci jakoś przyjemnie wyłowią grosz z kieszeni, że to cud! a her graf, a hoh edelman! że ani podobna co uratować; bo dalibóg nie jeden by i dał biednemu Polonusowi na emigracyi, ale niepodobna, — a co się tycze większych rzeczy, jak na Sprawę czy na Legiony, to już też bagateli dać niepodobna. — Kiedy nasza magnaterya nie daje, cóż tu mieć za złe chudemu pachołkowi? A miasto też kosztuje, bo wleziesz między wrony, to już kracz jak i ony.

— Ale, panie dobry, poco między wrony? co tam polski pan ma do roboty?

— Cóż robić u Boga, mój łaskawco, kieky innego towarzystwa niema.

— To i pocóż do miast koniecznie jezdzić, czy nie lepiéj do jednego sąsiada, do drugiego? toć i Warszawa niedaleko i do Poznania na żeleźnicyby można; przecież to miléj u swoich choć tam i dziegciem nawet śmierdzi; ale są i tam ludzie, i jakieś życie choćby pismiennictwa narodowego, a choćby się przypatrzyć co to są te drużyny carskie? jak to Polak w półkaftanie wygląda, i czego wygląda?

— Nudne to, mosanie, u nas sąsiedztwa, ani co robić, ani o czém mówić; zimą — no to jeszcze, to polowania, to pikniki, ale bałakać, zrzędzić o roli, o podatkach, o zdzierstwach rządowych, o napaści chłopów, to każdy ma tego i u siebie do syta — i to próżne bo ani rządu ani chłopa nieułagodzisz.

— Więc że węgrzyna chłopi piją a z sąsiadami nudy, bo się niczém polskiém zająć nielubicie i niechcecie; do miast na hergraf i szampańskie jeździcie?

— Gospodarstwo mosanie dla nas niby lepszéj szlachty to psia nuda, czczość niegodziwa, niech też znają i niemcy i drudzy, polskie obywatelstwo!

— Dalibóg Panie ja zaczynam wierzyć że znają i wybornie znają, i wcale teraz się niedziwię, że za taką wojnę z takich krówek mleko sobie doją.

Albożto my mosanie nie Polacy? nie tęgi naród, przed którym kiedyś drżał niemiec i turczyn; i wierz mi łaskawco, świat

powinien uszanować? a nie żeby nas lada pludra, obdzierał i z nas się najgrawał?

— Panie mój, takto i bywało niegdyś, ale jak was niemcy roztężyli do niedołęztwa, tak drugich moskale aż do krycia się pod płaszczyk pobożności Aby tylko udawać Panów po świecie, zrodzonych do wysokich przeznaczeń, a pełzających przed zdobywcy tronem albo milijonem, bez względu na historyczne imiona, na tradycyjne ich cnoty, na wewnętrzną wartość, tych drogoskazów lub pochodni narodowych; na te szczytne wzory hartu, dumy i rycerskości, co szlachta nasza i świetnie i bohatyrsko spełniała; jakiem prawem my liche ich syny, możemy się stroić w ich szyszak i tarcze z herbami?

— Bili się wam pod nosem, a wyście ani jednego ochotnika niepchnęli, ani jednego różowego od sromoty cwancyga na szalę wojny nierzucili! Złe było kozactwo dla mazurów, złe ordynackie wojsko dla rusinów; ależ Polska zawsze po dwóch a i po trzech hetmanów polnych miewała, i tu można było sobie wybrać choć jedną chorągiew.

Jest i w tułaczéj puszczy kilku takich osmolonych pojedynków zbrojnych kłami zużytemi na truflowém ryciu proroctw polarnych, socyalizmu sfinxowego, geniuszu macedońskiego Cezara, głębokości de Maistra i Donoza, którzy także nibyto szukają Polski, ale ich chyba posły ze złotem, mirą lub kadzidłem witając, mogą zadowolnić — trzeba było choć z niemi trzymać a nieczekać jak pijany, aż mu dom z łóżkiem się przysunie kołując.

— Niedostatek moralny, jak widzisz, wszędzie; brak tego boskiego ognia i jedności i u was, łakawco! a golizna i biéda, że siekierą nie urąbiesz; aleśmy za Polską prosili serdecznie Boga; bo co już tego, to nam nikt z serca nie wydrze! A potém, mosanie, jak mówię, prócz kilku magnatów zwanych u nas: *galicyjskie żydki,* co trochę bogatsi i rycersko Izraela naśladują, tylko na hypotekę i to na ośmnasty procent pożyczają; nigdzie gotówki, żebyś konał; bo reszta szlachty uczciwszéj, to.....

— Przepraszam pana że dokończę.

— No, cóż chcesz pawiedzieć.

— To reszta na szampanskie, her-graf, na niemieckie zabawy jeździ; jak ją nie stać na wody, na sporty, na skoczki, i paryzki sybarytyzm.

— Ależ, mosanie, cóż robić u bisa? Pojedziesz do magnata, lub poprawnego wołu albo merynosa, to jak nie masz akcyi na

Nord-ban, Loyda, lub nie znasz *bruder a bruder* wiedeńskich bankierów ani mobilierów paryzkich, ma cię za dudka!

— A za cóż się oni mają z tą złotą duszą, i tak medalowo poprawném sercem?

— Za potęgę wieku, mosanie, za ekonomistów, za rudel i igłę opinii rządowéj.

— I za żydków, jak pan dopiero mówił; bo Izrael cały składał się pewno ze szlachty, a szlachectwo, jak mówią, obowiązuje, tak ja ogar z rodu głosem goni.

— No, jużcić, łaskawco, oni tego o sobie nie mówią; ale wierzaj mi, dla nich baron Syna, Eskeles, Rotszyld albo Pereire, lub inny każdy bankier daleko więcéj znaczą jak Dembiński, Sadyk, Zamojski a nawet sam xiąże i z Polską.

— Winszuję Galicyi, ale nie zazdroszczę; bo inne części Polski choć także postępują, ale jeszcze tak Baalowi nie hołdują. Poznańczyki tu bywają, to jednak o sprawie choć niektórzy pamiętają.

— Te świetne wasze imiona okrągłych worków muszą jednak wiedzieć, że im wyżéj stoją, im większa kolumna światła ich oblewa, tém większy obowiązek bronienia godności, praw, obyczajów, języka i interesów narodowych na nich cięży; tém ich odpowiedzialność większa; tém i krytyka surowsza.

— Łaskawco! co wy tu sobie rościcie o jakicheś obowiązkach; z obowiązku przed xięciem krwi lub ministrem, każdy w kabłąk się zgina, przed bankierem na ulicy choćby pół-godziny kapelusz trzyma; przed ich żonami, w umizgach perłowych; a przed biurokratą, choćby polakiem; przysięga się że mu już nie podobna po polsku mówić, tak zapomniał.

— Z tego się pokazuje, miły panie, że przewybornie ten tęgi naród reprezentujące i jedni i drudzy, a czy was kraj, tak jak Ojciec niebieski, rozgrzeszy, nie wiem.

— No już my, mosanie darujesz, jeśli grzeszymy w czém, bo kto wie czy i trochę nie masz racyi, to z przywary, z reszty bundziuczności szlacheckiej, a może i z przepłoszenia w 48ym r., ale się jako tako trzymamy, i gdyby co nowego zaszło, to i my.....

— Przepraszam pana że przytrzymuję może i zadługo...

— A, szanowny łaskawco! bynajmniéj; kupić nie kupić, potargować nie zawadzi, bo to nic nie kosztuje. A potém, szczerze ci powiem, mosanie, że aby się tylko nie zdybać z jakim wybieraczem na sprawę, na inwalidy, na służbę jakąś publiczną, na biédnych, na szkoły, na siostry, na zakonników, to człowiek

rado pogawędzi, boć to jednak o rzeczy publicznéj, o ojczyznie!

— Ah! panie dobrodzieju, najgłębiéj o tém przykonany jestem.

— Jakżeto panosko dziś do kościoła z Emigracyą zaszło? Czy nie przyjmie pan cygarka, emigranckie, skromne, ale myśli smutne rozgania.

— Z drodziéj duszy, łaskawco; my tacy pyszni nie jesteśmy. Ha! cóż robić, przykrzy się, a tu się prędzéj kogo ze swoich zobaczy; ot i łaskawcę mego — zdybaliśmy się, i to dobre. Do obiadu zadługo, potém na teatr, a w dzień nudno samemu.

— Jakto, panie, i do kościoła z nudów, co tego tom się wcale nie spodziewał.

— No, no, daj pokój, bo tak nie jest, oddaj Bogu co boskiego, u mnie to rzecz sumnienia, a nawet i dobrzem zrobił, bo i u was coś, jakoś, po troszku, ale nie najlepiéj: już dziś *Boże zbaw Polskę!* nie śpiewają, czyby to już się jéj poprawiło? bo coś i od *powietrza, głodu, ognia i wojny!* też nie było.

— Ha! bo to panie teraz Rzym nad poprawą rytuałów żarliwie pracuje, a co od wojny, tożeśmy się nareszcie wyprosili; zapewne że o głodzie i o wodzie wartoby pamiętać, bo choćby i Polsce dziś lepiéj było niż dawniéj, niż dotąd; to nam tu trochę drożyzna dokucza, a jak drugich wyprawiemy ztąd do kraju, to choć trochę może stanieje.

— Żartujesz sobie łaskawco; ma Pan Bóg ważniéjsze rzeczy do stwarzania; tamto bagatela, ziemska rzecz, mosanie; ale teraz koleje, łaskawco, to grunt! Produkta przez nie się wymieniają, równoważą, i my, jak potrzeba, to wam i zboża przyszlemy; bo zamiana produktów, to ważna, złota rzecz!

— A ja już chciałem panu dobrodziejowi w imieniu biédnéj emigracyi dziękować; ale cóż to nam na drożyznę pomoże; chyba żeby nam Galicya obywatelska dla biédnych zboża przysłała w prezencie, bez cwancygów.

— Co mówisz, łaskawco, prezent! takżeś trafił. U nas każdy czeka grosza jak kania deszczu, a połowa to się i na pniu sprzeda.

Wtém przysuwa się ku nam, usłyszawszy nas tak ekonomizujących, paryzki jeden emigrant, a dobry mój znajomy, który, jak mówią, po cichutku z amnestyą się godzi.

— A, prosiemy! dzień dobry! cóż tam nowego? zkąd tak zasapany? czy czasem kto świeżéj łaski nie wynalazł? zapytałem go.

Usiadł przed nami na swojéj wojdówce, jak sokół na berle, i otarłszy czoło :

— Nie potrzeba nowych, dobre i stare; już to dosyć tego! Kto 26 lat ojczyznie wysłużył i nic nie zrobił, to niech tych niewdzięczników wszyscy a wszyscy porwą! Poświęcać się za nich, krew przelewać, cierpieć jak żebraki; a te urwipołcie o sobie tylko myślą, i politycy, i filantropy, i trybunowie, a dla nas nic i nic; dosyc tego!

— Kto to taki? zapytał szlachcic, bo ja tych kwestyi nie bardzo rozumiem.

— A któż, zacny rodaku, tylko ci sławni Sprzymierzeni i krzykacze! czy zrobili co dla nas?

— Mój bracie, rzekłem cichutko, stało się mościa panno; ale nie ma co krzyczeć na zabójstwo, na zdradę; możeśmy temu i sami trochę winni; bo to tam, tą razą, ta krew polska strugami się nie lała; zdaje mi się żeś i ty i ja zdrów, chwała Bogu.

— To pan major, jak słyszę, i nie był na Wschodzie; jakże pańska godność? zapytał milutko mój szlachcic.

— Grudzień, do usług zacnego pana.

— Bardzo mi miła jego znajomość. Jam tu znany, panie, jak czarny Zawisza! dodał z powagą major.

— Ja tam, co prawda, nie byłem na Wschodzie; ale byli drudry, i myśmy wszyscy drżeli z niecierpliwości; każdy był gotów; a ja i każdy co zna co to wojna, dziurawił sobie na próżno strategiczne karty, i jasnośmy widzieli że te dudki Moskalom nic nie zrobią; bo czy kto rozsądny mógł uwierzyć że to przez Krym droga do Polski!

— To dobrze, odparłem, i bardzo że tam byli drudzy, ale nie wielu się z nich biło; a Bogiem a prawdą, mnie z nich wielu mówiło, że dla tego idą, bo Turcyę może i podzielą, to i im się może po kawałku dostać.

— Za cóż się mieli bić, proszę? żywo zaciął major, kiedy nam Polski nie oddali?

— Możnaby logiczniéj, choć z mniejszą dozą patryotyzmu; argument pana majora odwrócić, milutko rzekł szlachcic; i powiedzieć : za co mieli oddawać Polskę? kiedy się Polacy za nią nie bili. A uderzmy się w piersi, bo i my nie bez grzechu. W Galicyi nie bardzo się brali do wojny; my tam, prawda, niewojskowi, ale młodzieży i to takiéj, majorze, jak kwiat, mamy huk, ale zaspaliśmy jedni, zależeli pole drudzy; i nas te bestye Niemcy ciągle durzyły a zdzierały.

—To wszystko bajka, bo Sprzymierzeni nie myśleli o Polsce, to widać było z karty strategicznéj którą szpilkami zniszczyłem, rzecze major, chyba może — i to wielkie morze — jedni tylko Turcy. Dziś, dalibóg nie ma co tu robić, tylko wracać; co będzie to będzie, a skoro szubienicy nie będzie, to i w nogi do domu.

— Szubienica czy pręgierz dla Polaka, a piętno ohydy wyciśnięte na czole ojczyzny własnych dzieci ręką, nie powabne dla nas — już my dla siebie w naszych latach nie żyjemy, dla czego już się poddawać i z całą fortecą, czy posiłki pewno nie przyjdą? Myśleli o Polsce Turcy, myśleli i drudzy, Anglia dała dywizyę, Francya też chętnie wspierała czasami; tą razą się nie udało; poczekać, a pod pręgierzem nie stawiać ani kraju, ani siebie. — To moje przekonanie zimno wypowiedziałem.

— Jaki pręgierz? co wam się przyśniło; czy kogo do tego zmuszają? czy przekonanie kogo upadla? Ja widziałem Hrabię N., i on ręczy, że Cesarz na koronacyi nową da amnestyą, czyli raczéj do téj doda, że i majątki zwrócą jeśli do trzecich rąk nie przeszły, rzekł major — wiem najpewniéj, że i pieniądze są na długi i na drogę naszą, a jeśli Deputacyą mu ztąd poślą na koronacyą, to i *Polszcza budiet!* bo się zmartwił bardzo nieufnością w prowerbialną dobroć swéj dynastyi, mówią nawet że zachorował z żalu.

— A czy majorowi też skonfiskowano? zapytał szlachcic, czy to dekretem czy przez kontumacyą? Co ci Moskale, i to takich zacnych ludzi na rujnowali, Boże ty!

— Ej co tam znaczy majątek, odstrzelił major, zawsze się coś znajdzie; nie tak, to tak; łatwiéj to między swemi, zacny panie! familia, sąsiedzi, obywatele są, to pomogą.

— No, ja myślę, p. majorze, że jeżeliś niezostawił majątku, to trudno i Cesarzowi z suchego dzbana nalać, a cudzego nie dadzą — familia zapewne; pocieszy, przytuli i pomoże, jeżeli ma z czego; a to wielki sęk — ja myślę, że u państwa, to tak jak i u nas w Galicyi, golizna, bieda, zdzierstwo; a co moje to nie twoje; po 25 latach trudno to majorze.

— Co to znaczy! zawoła major, jakoś to tam będzie, człowiek z głową, wszędzie sobie da radę, i tu różnie bywało, ale jak się ma biegalitatem to się zawsze coś znajdzie, nie to, to owo; już my różne mieliśmy zmiany, rewolucye, barrykady, wyprawy; a człowiek nie przepadł, to i tam nie zginie. Ale żeśmy szalone głupstwo zrobili w 1830 r. to pewna — albo to nam źle było i

w Polsce i u nas? Obywatel żył sobie jak w raju, chłop pracował i —

— Oto mi z ust wyjmujesz, p. majorze, gadajcie sobie co chcenie, choć to i my znamy i szanujemy prawa człowieka; ale nam te szelmy tą nieszczęśliwą pańszczyznę kaducznie dokuczyli, gdzie ci ludzie mieli rozum?

— Kto to, Panie, czy chłopi pańszczyzną, czy Niemcy znosząc ją? bo nie uważałem dobrze, cygaro mi zgasło, zapalałem i niedosłyszałem; zapytuję ukosem szlachcica.

— Żeby to jeszcze Niemcy, ale to te gałgany wiedeńskie deputaty, a i nasze sławne błazny, to ze Smołką, to ze Stadyonem, to z ministrami zarzynali nas! a łaskawca sobie zdaje się żartować — to mosanie była narodowa klęska!

— A podchorążowie nie waryaty byli? a ci co detronizowali Mikołaja? ot krzykacze i nic więcej, liberały; tamci myśleli że każdy z nich jenerałem zostanie; a ci do ludów manifesty posyłali! — porwali się jak z motyką na słońce, i nas zakompromitowali, bić się nieumieli, cóż to ja nie patrzałem na karcie? A jak było krucho, to drapnęli i jedni i drudzy do Francyi, a dziś im Francya gardłem wyłazi — doczekaliśmy się ot, nędzy, głodu, i jeszcze Bóg wie co będzie dalej.

Tu odetchnąwszy trochę major, przybrał ton zupełnie patetyczny: A kraj pogrążyli w nędzy, we łzach i żałobie — tyle ofiar, tyle ucisku, tyle familij zrujnowanych, nasz naród cały zniszczyli, i jeszcze tu do tych żydów pochrzczonych zataszczyli, łudząc wielkomyślnemi projektami, djabli wiedzą za co, po co i na co? Żebyśmy dziś przynajmniej mieli rozum i odwagę, i nie dali się więcej oszukiwać!

Tu major dobył chustki ale płakać nie mógł, otarł tylko zroszone potem czoło, ale wzruszenie było głębokie, to widać było po wzdymaniu się gwałtownem, jak miech, brzucha, i stłumionym głosie aż do głębi tułowu.

— Chcąc go ukoić w tym żalu i skrusze, a nie dać mu uledz pod ciężarem tak czarnych myśli, a do których coś jak przepaść go wabi; rzekłem z całą powagą współczucia: Ależ drogi bracie! wzbieranie i opadanie twego czułego a pracowitego żywota, niekoniecznie już prowadzi do samobójstwa lub do głodnej śmierci; los Ugolina żadnego dotąd z nas nie spotkał; czekaliśmy, wyglądali tak długo od królestwa, tak krótko od Republiki, tak wiele od Cesarstwa, które może i ma choć trochę więcej trudności jak tamte, a dużo biedy i od głodu, i od cho-

lery i od gorączek galopujących, to trzęsionek, ukochanych sprzymierzonych żółwiów; poczekajmy ten raz jeszcze, i jak Frederyk dezerterom tak my sobie powiedzmy: jak tą razą przegramy to i ja z wami ucieknę — i nie będzie komu ani łapać, ani rozstrzelać, ani nawet wieszać; bo wszyscy zdezerterujemy — nota bene zaprotestowawszy i przeciw Cesarstwu.

— Czy Rplika czy Cesarstwo, wszystko to jeden diabeł, żadne nam Polski nie da; a wyraźnie Europa robi nowe układy, nowy zamach, nowy *Sainte-Alliance*.

— A to widzisz, że trzeba lepiéj tu poczekać, co z tego wyniknie, niż z deszczu trafić pod rynnę, albo w kałuży się położyć; a i Pan którego tu mamy i szanujemy, jako model obywateli swego kraju, oto nad tém szczerze przemyśla; jakby nam z Galicyi zboża na głód przysłać koleją.

— Jużto łaskawco, choć tak może zupełnie nie jest, ale my musim coś zrobić; panie majorze, ten pan może nawet w części, wyjąwszy tylko tę przeklętą pańszczyznę, tu ma i racyą.

— Panie! skoro i Moskalom i Niemcom ją dajecie, czemużbym ja jéj mieć nie miał? Albo się za was upominał i martwił, kiedy oba zyskacie a nie stracicie; bo to was pogodzi i z ludem i z postępem, a może i z Ewangelią.

— Wiesz łaskawco, żartować się z rzeczy świętych niegodzi, Ewangelia nikogo nie obdziera i tego Kościół nie naucza! zaintonował szlachcic.

— Zatém panie, to chyba jest drugi Kościół i druga Ewangelia co każe bronić swego i siebie. Ale Chrystus i Prorocy ostrzegali, że jak będzie płacz, jęk, ucisk w narodzie, pokrzywdzona wdowa, sieroty obdarte przez opiekunów i sędziów, to będzie znak że przewodnicy ślepi, lud cały, który im Bóg poruczył, w otchłań zawiedli!

— I piszczemy w niéj, łaskawco, to i ja przyznaję, od podatków, od rekruta, od cenzury i Niemców!

— Żartem ci ja mówiłem, ale mi się na płacz zbiera, bo widzę, że gdzie serce chłodne tam i ręka nieskora, i życie ustaje, a zgnilizna i sromota blizka!

— Jakto łaskawco, więc chcesz żeby Galicya emigracyi zboża przysyłała?

— Nie zboża, Panie, i nie emigracyi — obeszła się bez was dotąd, to i nadal się obejdzie; ale żebyście wy w kraju, niezdolni byli nawet pomyśleć, gdzie on to idzie, gdzie go prowadzicie; a ztąd jaka was i nas, a więc całą Polskę czeka przy-

szłość; to się nie godoi, to występek! Jakto, czy nie widzieliście że wasze niedołęztwo oddziaływa i na emigracyą, która was sobie lepszymi wyobrażała? Czyby śmieli wracać gdyby mogli dziś na was rachować, a zatém i was się wstydzić?

— Żaden nic nie odpowiada — dobrze, trafiłem w cetno, trzeba kuć żelazo kiedy gorące; i kiedy się namyślam jak daléj rzecz prowadzić, czyby się wznieść aż do *quousque tandem Catilina?* Patrzę na majora, wojdówką coś na piasku kreśli; na drugiego, kręci wąsy obydwoma garściaciami choć mu już stoją jak szydła. — No, myślę sobie, niewłaściwa to chwila na Katylinę — gdybym zapiał, *np.* jak kogut Ś. Piotra; naśmieją się, bo to tylko Suwarow piać umiał, i Moskale jedni są co koguta rozumieją i słuchają, bo to wielki heroizm! — *Et tu Brute contra me?* możeby ich rozbroiło; ale i to nie dobre — nuż nie biegli w klasykach, gotowi myśleć że który z nich brutal, toby jeszcze było gorzéj — a tu czasy koalicyi, asocyacyi, fuzyi, i to niebezpieczne — tém bardziéj też że ich dwóch a ja jeden. W Rzymskich czasach wprawdzie tych fuzyi nie bywało, ale to w naszym temperamencie, a dziś wszystko galopuje jak para. Powiem co o Filipie Macedońskim, gotowi skorzystać, i major zarazby zawołał: a cóż nie zagrabił Grecyi? A czy przyszedł jéj kto pomagać? — A choćto ich Demostenes do wytrwałości napędzał, zapalał wymową, a bajeczką chłostał!

A jednak niechciałem ich tak własnemu natchnieniu a tém bardziéj sumieniu zostawić, bo *errare humana res est* — to loterya.

Aż poczciwy szlachcic gawędząc sobie we dwóch; coś przypomina, daléj i przekonywa majora, że z Czarnego na Kaspijskie morze dla flot przejścia nie ma, że Krymu niemożnaby wywieść ani tam ani do Anglii, że flotę rossyjską pewno już robaki zjadły, a i tak już tylko deski od pokostu się jeszcze trzymały, jak mówili ich majtkowie; że Rossyi pozostaje nagwałt robić drogi żelazne! a że skoro Bałakławską od Anglików kupili, to ją przedłużą do Moskwy, i pewno przez Odesę do Lwowa, jak to od galicyjskich słyszał żydków.

Handlują więc obydwa zbożem, solą, wełną, drzewem; mierzą południki i odległości — aż zaczęli się sprzeczać, który zna lepiéj geografią i statystykę.

Ja już dobrze też ochłonąłem, kiedy major rozdrażniony urąganiem się z litewskich piasków zawołał: Ależ do czorta, zacny Panie! kiedy was już tak uczą Niemcy we Lwowie, że

Galicya to spiżarnia i kocioł do odlewania rekrutów dla Austryi, że z was połowa Rusiny a połowa cesarscy; to gdzież u milion set beczek kaduków, Polacy się podzieli?

— Najlepiéj korzystać z dywersyi, nieraz tego doświadczyłem — pochwaliłem mimochodem majorowską drażliwość, a rachując też, co prawda, na austryacki posiłek, z politowaniem dodałem: Ależ i u was tam majorze, nie lepiéj podobno, często ja to i od twoich słyszałem, że prócz świętéj Żmudzi, to kto wie jakby było z resztą, czyby się w potrzebie ruszyła?

— Jak jeden człowiek! krzyknie major, my nie Cesarscy, a Rusini u nas; to już Nestor napisał, że to Lachy i Polanie, to oni swoje zrobią!

— A o nas Szafarzyk i Lelewel wasz, nie napisali żeśmy Chrobaci biali i Chrobaci czerwoni? — a to znaczy chrobrzy, mosanie, to jest rycerze. Gdyby tak nie było, to myślicie tu panowie Polonusy, żeby Wiedeń i Berlin a i Petersburg, nieznaleźli dotąd jakich Schlötzerów lub Sękoskich, żeby dowieść iż my Jaćwierze lub Jazygi, albo Kumani? zdaje się wasi dawni sąsiedzi. Jużto tam mosanie, Chrobaty się z Czudami i Finami nie mieszają, nie bratają; wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi, majorze, wiedzą i swoi i obcy co znaczy Chrobry, a to nam dosyć!

— A piękna mi chrobrość, kiedy jéj słowa wystarczają, zaczął werblować major; to tak coś jak żydy, naród wybrany od Boga, jak sobie patent na to wyrobił, to już choć cebulka na święto a czosnek no powszedny dzień, to mu z tém dobrze; a wszyscy go szturchają i wyszydzają — choć się i do przemysłu bierze.

A czy Chrobaci w 31ym r., tak jak Litwa, powstali? Rznęli was w 46m r. za to chłopi, i dobrze zrobili, kiedyście wy nic dla Polski nie zrobili coby ich od podżegań powstrzymało. Brali was w rekruty po 48ym, dobrze wam tak, a czy nie było Dembińskiego a i Wysockiego wam pod nosem; a ruszyliście się? Na saméj granicy bili się drudzy, a wyście nie mogli, choćto wy chrobrzy?

To was to mało jeszcze pięć milionów żeby ciaraparom skóry nie wygarbować było? A w 53m i 4m, nie mieliście wojny i Sprzymierzonych w zanadrzu, czyście się podnieśli? Ha! żeby to tak blisko Litwy czy Kongresówki było, to zacny pan myślisz żeby dwa lata bez pohulanki wytrzymały, i wrogowi przeszło na sucho jak z wami?

Widząc że major dostatecznie już szlachcicowi wytarł kapitułę, a co raz to mnię łokciem trąci — daléj i ja też z dobitkiem retorycznym, aby znękać cesarskiego aż się podda — bo nas już

było dwóch, major strategiją a ja podjazdowym harcem. Rozumowałem sobie: jeśli się pokłucą to mała szkoda, a w mętnéj wodzie najlepiéj się łowi; jeśli nie, to i to już dobre że się bez wojdówki obejdzie, choć to i ja nie z gliny, ale kiedy można wycofać się przyzwoiciéj, czy przez protokuły, czy przez konferencye, czy nareszcie jaki projekt do jedności wystosować, aby tylko wyjść, choćby i bez honorów wojny, aby cało. Obróciłem tedy mowę do całego zgromadzenia, i rzekłem:

Moi najmilsi bracia a szanowni i czcigodni rodacy tu obradujący! uczy nas tego wiara, moralność, cywilizacya i dyplomacya; choćto nie zawsze i one pełnią święcie te zasady nietykalne społeczeństwa; aby się nie bić i nie okradać po domach?

— Prawda! odpowiadają oba.

— Cóż innego mówił ów wielki mędrzec temi słowy: *Dulce est pro patria conservare vitam?* — Czy nie miał głęboko pojętego celu ludzkości?

— Co o tém to różnie różni sądzą, oba razem mi odparli.

— Jakto! czy jest co milszego nad życie? I maż ktokolwiek prawo niém bezkarnie, dla swoich widoków lub namiętności, rozrządzać, czy własném, czy drugich?

— I ma i nie ma,— to zależy od tego, czy na cel narodowy; bo życie każdego do narodu należy, odpowiedział major, a kiwnięciem głowy z wąsami i szlachcic przyświadczył.

— Otóż, moi mili, w tułaczéj wędrówce dzisiejszéj słuchacze, ja wcale takich buntowniczych waszych myśli a może, kto wie, i chęci, a tém bardziéj wykonania ich, zamienienia tego *verbum* w czyn, w rzeczywistość, i ostatecznie w wojnę przeciw społeczeństwu tak dziś szczęśliwemu a oświeconemu; ostatecznie, mówię nie podzielam! *sic et sic!*

— Jakto! a to, łaskawco, czegoż się było z nami spierać do ostatka? no, to nie ma o czém i mówić, mosanie,— jeżeli to aż do powstań prowadzi. Przyznam się że i ja mam niejakie skrupuły, bo co to, to nieczysta rzecz — toć to powstanie i nas zabiło!

Jeszcze i to dodam, żebyście zacni ziemianie i obywatele tułacze nie zostali w błędzie; że dziś, choćby też tylko dla saméj ciekawości, to jeszcze pożyć warto. A kiedy uważymy że to i każdy człowiek jest osobą grającą znamienitą rolę w téj wielkiéj machinie świata, w któréj się wszystko kręci, suwa, obraca; bez tarcia, bez smarowidła, bez bankierów i konduktorów, że aż miło wiekom na to patrzeć, a i nam z niemi, — choćby i kręcąc się sami nie wiedząc dla czego i ku czemu; wnoszę projekt, aby

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA w TORUNIU

każdy co nie ma swego narodu któryby mu mógł rozkazywać, co zrobić z życiem; mógł być i bez sądu obwieszony, przez swego pana.

— Nie! to być nie może i nie powinno; boby nas Moskale i Niemcy wywieszali najmniéj z połowę, resztę zaś obrócili na mużyków i knechtów; a już wybaczysz że w takim stanie i życie nie wiele już warte — i lepiéjby zostać na emigracyi, jak dotąd; a czekać! jakem major!

— Ależ, majorze, przez Bóg żywy, jak my możemy żyć bez pańszczyzny, któréj jednak Niemcy nam nie przywrócą — chybaby może dla tego powstać żeby przywrócić stary, wiekami uświęcony porządek; bo jak świat światem, Palak Moskala ani Niemca nie będzie już bratem, mosanie, i za to jeszcze właśnie.

— Oj, zacny panie, odpowie mojor, żebyście wy byli chociaż tyle kochali Polskę i lud jéj co Niemca; toby wam byli chłopi w 46ym ani Szafarzyka, ani Lelewela nie przypominali, a znali oni dawno, bo tego się nasłuchałem i nad Niemnem: « bij Niemca w łeb, albo: bij go bo to Niemiec! » Aleście wy ich waszą chrobrością słów a nie czynów tego oduczyli.

Idee, majorze, zmieniają się, co to dziwnego; jednak Galicya, mosanie, figurowała nieladajako na expozycyi świata; a z Litwy nie było ni kogo, nie było nic do pokazania, mosanie. — I pokręcił wąsa— ani wypasłego żubra, ani uczonego niedźwiadka!

— Poczekajmy no drugiej expozycyi, a zobaczysz, zacny panie, że tam będą nie żubry i niedźwiedzie, ale same lny, same konopie! jak to jakoś piosenka nuci.

I major, ni ztąd ni zowąd, zaczął sobie nucić, « Jak będę na posieleniu, » a wojdówką znowu kreślił jakby Bomarsund czy Połągę.

Szlachcic zmieszany, milutko zapytał majora: — Grudzień, znane mi to piękne imię; ale tam państwo macie i kilka zacnych familii tatarskich, między wami słyszałem.

Major spójrzał mu z uśmiechem w oczy: — a bo co?

— Kto też pana majora Grudzień rodzi?

— Panna Wierzgajło, marszałkowa wiłkomierska, do usług zacnego pana, stara i poważna rodzina; bądź pan przekonanym! a ojca mego, panna Sołtan, starościanka upitska.

— Aniem wiedział, majorze, że należysz do pierwszych rodzin; to też mi się dziwném wydało; bo to lny, konopie, to u nas mniéj przemysł znaczą jak zabawkę, i dla tego — ale szczerze, powiedz mi, majorze, czyby nielepiéj je Anglikom spokojnie

sobie sprzedawać, niż te piosnki dzikie; — bo to widzisz te zręczne podniety to jak otchłań przyciąga, a wierszyk napisać zdaje się nic.

Jednego tylko znał ś. p. pan Adam człowieka i to szlachcica polskiego, co raz przeczytawszy Kopernika, nigdy już więcéj o pół-nocy nie mógł zasnąć: wyskakiwał z łóżka w koszuli, i łapał się za co mógł, a krzyczał: trzymajcie mię, na miłość boską, bo ziemia teraz do góry nogami stoi! I po dwóch godzinach zaledwo mógł się położyć na nowo. Panie świeć nad jego duszą! już umarł i on. Major to z przekąsem wymówiwszy westchnął.

I szlachcicowi a i mnie stanęła jakaś mara przed oczyma; bo to się niejeden strach miało w życiu, nie kuśmy złego, ono i samo łazi za piętami, a co tu za potrzeba nieboszczyków jeszcze?

Chciałem więc coś poważnego wykoncypować, a kiedy poruszyli i statystykę i ekonomię, więc i ja niémi jeszcze raz, i to oburącz na szlachcica walę.

— Już dwadzieścia-sześć lat po wojnie, a wy się w tył cofacie moralnie i politycznie; gniotą was Moskale i Niemcy, a wy prócz materyalnéj straty lub zysku nic innego nie czujecie? nawet tego nie rozumiecie, że wartość ziemi nagradza wam pańszczyznę, bo zamiast tysiąca właścicieli niedołęgów, zyskujecie milion konkurentów do kupna ziemi, a pięć milionów dusz i serc dziś obywatelskich, a które jutro spolszczeją!

— Przyznam się zacnemu panu, że kto wie czy to nie jest i prawda, bo rzeczywiście że to strach od noża ginąć. — I to mówiąc, major na moją stronę się przesiadł, i dał mi znak czy nie mam cygara? Miałem dwa jeszcze, i dałem mu grubsze a i lepsze. I zaraz major zapalając u mojego, szepnął mi trochę słów do ucha; ja więc rzekłem daléj:

— Sprawa Polski dotycze wszystkich jéj synów, dotykała równie i was w Galicyi; cóżeście dla niéj zrobili?

— A cóż, proszę, mosanie, zrobiła emigracya? odparł szlachcic.

— Co mogła przynajmniéj, jeśli nie co powinna. Dwadzieścia dwa lat stała na straży praw narodowych o swym groszu i swéj pracy, a ile razy błysła jéj nadzieja; tyle razy biegła szukać walki, aż ta gotowość Europę całą przestraszyła—było to złego; że kraj oglądał się na nią, bo bez wychodźtwa po wojnie 1831, dziś byłby pewno powstał, jak mógł, sam, choć z widłami i kosami, byłby powstał i wołał o życie lub śmierć do Zachodu, i byłby może figurował na konferencyach jak Włochy, jeśli nie

ściągnął Sprzymierzonych do siebie; i czy to dziwne że emigracya, bez pomocy z kraju, nie mogła wiele więcéj zrobić?

Ale robiła, panie, za was i za siebie, i to wdowim groszem składanym przez patryarchalne serca i ręce, albo pracujące ciężko tułactwo, a dobrowolnie spuszczanym przez emigracyę, panie! do skarbonki narodowéj, w oczach waszych tu możnych włóczęgów, jeśli nie członków bractwa do uwielbienia Rossyi i Austryi, do zbezczeszczania Polski, do zabijania sprawy tureckiéj z którą nasza była silnie i święcie związaną!

— Ale wam dopomagały dwory, mosanie; a was tam nie wielu było — dla czego to? Kto nie ma chęci wie jak wykręci, prawda, ależ i czerwoną czapką lub chorągiewką krowa od cieląt tygrysem się robi i całe stado na czerwień rozjuszy.

— Jeśli dwory pomagały, to może z pewną obawą, albo i z nienawiścią instynktową ku naszemu imieniu, bośmy katolicy, sławianie, i sercem Francuzi; a zresztą, co nam winni obcy? Wy, panowie bracia, od emigracyi i jéj ciężarów uciekacie, od wspólnych ofiar i prac stronicie, a chcecie żeby was, pasożytów dziś polskiéj ziemi, obcy wyręczali? Czy oni nie mówili, dając: « Ależ macie kraj za sobą! » Myśmy żołnierzy dać nie mogli; a przyparzcie się no tym co poszli po ile to już krzyżyków mają na czole? ilu to tam kalek i w wieku podeszłych! a poszli.

— No, łaskawco, tak źle o nas nie sądź; my zawsze nosimy w sercach tę polską rycerskość, i zawsześmy nieodrodni synowie téj bohaterskiéj Polski; ale jak mówiłem już, mosanie, nie ma kleju; nie ma jedności, nie ma grosza!

— Panie mój! a wasze wojaże, sporty, karty; a perły, cugi, sfory; a czepce i krynoliny wykupywane z expozycyi, a pasztety strasburskie i szulerki mineralne? Ile byto było za to stanęło szwadronów do boju? Pieczęcie im na czołach wypiekać za polską godność, za jéj dobrą wojenną sławę!

— Ha! to już i my i żony i córki nasze, mamy żyć jak niedźwiedzie? Chcesz, mosanie, żebyśmy piechotą chodzili, a nawet i po chłopsku się ubierali?

— Bynajmniéj, miły panie! ale gdybyście mieli serce, jak je mają nasi tu w emigracyi niektórzy, i położyli jednę dwódziestych lub jednę piędziesiątych rocznego dochodu, coby wam jednéj butelki wina nie ujęło; to sama Galicya mogła cicho, między obywatelstwem dwa do trzech milionów dostarczyć; a cóż dopiero Króiestwo, Litwa i Poznańskie, gdyby były chciały! Czy nie wołano do wszystkich o ofiary? czy wam nie trą-

biono po gazetach i do wyciągniętych uszu posłom, a waszym to niby cymesom dzielności? Nic i nic! i to nikomu; bo gdybyście wy w coś lub w kogoś przynajmniéj wierzyli, to byłoby się dało widzieć, i ani Polskaby wam szlachcie, nie złorzeczyła; ani Zachód magnateryą nie gardził, o Polsce nie zwątpiał.

Los wojny każdéj w ręku Boga; ale należało wam i nam wszystkie środki wyczerpać, wszystkie prawdopodobieństwa chwytać, wszystkiego co się ruszało jakiémś życiem jimać; a wy nic i nic! Z kamienia by łza pociekła!

— Już to jakoś, mosanie, sam Bóg widać nie błogosławił téj wojnie; ale po co się było na kraj ujarzmiony, łaskawco, spuszczać? macie i wy tu waszych kapitalistów i bogatych; niech no by pan ten, a ów i ów dali!

— To tez że ich mamy choć kilku co po parę milionów mają, a reszta skromne pozycyjki, to i dla tego jedynie myśl polska i wątek narodowego życia nie upadł; bo oni to, nie wy, dają więcéj znękanéj emigracyi i na święty ołtarz Polski umęczonéj, w jednym roku, panie; niż wyście dali przez lat dwadzieścia-pięć. Od nich wam się uczyć, coście niegodni rzemyka ich obuwia rozpleść, jak kraj kochać i braci, służąc im! Tak jak pismo święte mówi: « dla jednego prawego gród bezbożny ocalał. » Tak i sprawa Polski dla nich ocalała, a nie dla waszych niegodziwości. A kto wié o tém? czy znacie ich choć z imienia, prócz w szkole, w szpitalu przy chorym albo przy kalece! Wiesz pan że oni dają połowę, jednę trzecich albo jednę piątych z intraty lub zarobku corocznie! a nie figurują nigdy po gazetach z cnotą, kiedy inni rozsadzają się w nich zbytkiem, marnotrawstwem, a brzęczą i błyszczą dumni ze złotych kajdan!

— Zapewne, łaskawco, to mi się podoba; bo to wiesz, mosanie, polska cnota! warto takich szanować; to jest po chrześcijańsku — hem — ja to myślałem, łaskawco, prosić tu kogo, ale widać że znasz i z téj dobréj strony naszych zacnych tu rodaków — hem — jednak gdyby się to dało, czybyś mi nie mógł jakim sposobem usłużyć? Delikatna to rzecz, mosanie, ale dla dobra ogółu, dla sprawy — toć i my Polacy! — czybym ja tu nie mógł znaleźć kogo coby mi — ale i to wiesz, tak uczciwie — pożyczył, i to, łaskawco, na hypotekę i na majątek, ma się rozumieć — tak bym nie przyjął; bo co się tego tycze, to i my mamy pewną dumę — szanujemy się.

Aż tu major już nie mógł dłużéj wytrzymać; kręcił się, poprawiał, krząkał, kiedy tego słuchał, aż huknął jak stentor:

— A niechże też was już wszyscy a wszyscy porwą! A to mi dopiero ludzie! A ja myślałem że my już torby sieczki, funta kłaków niewarci! A tośmy sobie dali chleba z krajem, tom sobie narobił! No, jeżeli i u nas to samo, to bywaj że mi zdrów! A tośmy zajaśnieli: Lukullusy, Kleopatry, Messaliny i, Panie odpuść, co jeszcze! Oj biedna ty Polsko! A toż masz; a to mi zabili sęk w głowę!

I zerwał się z ławy wywijając wojdówką obok nas jak pręcikiem. Ja mówię:

— Majorze! czas ku domowi, zawiele gości — na drugi raz.

— Panie majorze i dobry mój łaskawco, wybaczcie, ależ ja mam czém odpowiedzieć i z czego; ale gdyby się udało — nie, to nie.— Ale zdaje mi się że gdyby też i emigracya poznała choć trochę biédę, to nie zaszkodzi; bo to jak ciało korne, to i duch nie bryka, i z Bogiem i świętém jego prawem się nie wadzi, dzień święty święci; a ja tu u was w Paryżu téj przykładności wcale nie widzę. A toć to jeszcze jedno co ludzi odrywa od ziemi.

— A jak widzę, i do Wiednia i do Petersburga prowadzi! major z gniewem przyciął.

— Musisz pan jednak czytywać gazety, co tu sami Biskupi mówią a i piszą, rzekłem ja; że głód i powódź Pan Bóg zesłał na Francuzów za ich wybryki, to za cóż my mamy brać te same kije, kiedy i w niedzielę nic nie robiemy?

— To już chyba koniec świata nadchodzi, wykrzyknie Major i wierci wojdówką; już się swój ze swoim nie rozumie. Babel, pomięszanie języków, czy co u djabła? Jednych karzą za to iż mówią, że własność jest kradzieżą; nas za to, że chcemy własność złodziejom odbierać; teraz już widzę, jakaś nowa szkoła, żeby ci pościli co głodni; a tych co mają dziedzictwa chcą beatyfikować za to że ewangieliczne cnoty ukrzepiają, i że chowając swoje, pokornie proszą o cudze.

— A wiesz co łaskawco, wypogodziwszy nieco szlachcic czoło temi antytezami, żart żartem, ale że cię, łaskawco, major zażył z mańki; bo co tu odpowiedzieć? Albo brońcie prawa własności, a więc oddajcie nam Polskę; a jak ją odbierzecie, to wasza wtém sprawa; albo jeśli przyznajecie prawo posiadania tym którzy nam ją zagrabili; a zatém właśność jest kradzieżą, *sic, isc et sic!* Brawo, majorze, ściskam cię...

I rzucił się na niego z rozłożonemi ramiony i ucałował jak brata.

Widząc ja że to tajny może allians Halicza Austryi z Litwą

przeciw Koronie, daléj ja na pomoc do głowy i do retoryki, bo jakoś przed nią trochę miękną; a jak tylko popuszczę, chlust! zaraz jest djabełek i zuchwali się.

— Ależ panowie to nie ci kradli którym każecie żeby odbierali, to jedno; drugie, że nie ma jeszcza żadnego dziś dowodu że posiadanie im przyznali i że nie odbiorą złodziejom, a nie oddadzą pokrzywdzonym; jest czas i na to i na wszystko; trzecie, że w całéj Europie zasada moralna a więc towarzyska, to jest sumienia publicznego, jest w największém rozbiciu i może wkrótce utonąć. Kiedy wiara patryotyzm, odwaga publiczna i prywatna, cnota narodowa wiekami wyrobiona i uświęcona, pod jakąbądź objawiająca się formą myśli, woli lub uczynku, w tym samym kraju i narodzie, jedne są karane jak zbrodnia lub występek, temi sami prawami, wzmocnionemi powagą kościoła, które w drugiéj połowie narodu, nagradzane są jako cnoty i wskazywane za przykład; czy ten chaos światem może władać? czy tego Zachód nie widzi, czy nie musi cofnąc się od téj odchłani? czy to może potrwać bezpiecznie?

— No. wiesz co, ja przyznaję że masz zupełną racyę, a jeżeli mi jeszcze dowiedźiesz co tu robić, komu ufać, czemu wierzyć? to dalibóg, choć ja się bardzo i powrotu nie lękam; — a w emigracyi zostanę, na to ci daje słowo! ot pan zacny, obywatel z kraju, świadek że dotrzymam.

— A jeżeliś ty, mój bracie, dał już słowo i P. hrabiemu X., to któreż z dwóch dotrzymasz; bo to z wami nie taka łatwa wygrana, bratku.

— Nie turbuj się o to bynajmniéj, *verba volant scripta manent*' a dalibóg skryptu jeszcze nie dałem, to jakoś to ujdzie. Ale mię przekonaj, a zobaczysz jak ja uwierzę; to będę przkonywał drugich, a wiesz że mam przyjaciół.

— Zobaczemy, ja nad tém trochę pomyślę i parę wierszy nagryzmolę, to przeczytasz a myślę i pomożesz.

— Ha! dobrze, rzecze major, zobaczemy, ja poczekam trochę.

Dobra myśl, powtarzam sobie w duchu, lepiéj napisać; bo dogadaj że się z takiémi frantami, a tu są i tacy i tacy, ze wszystkiémi spierać się niepodobna, a i gdzie ich szukać? tém bardziéj że się w cień chowają, choć to nie gorąco jeszcze. Pożegnawszy się tedy z obydwóma, wracam ja do siebie i łap za pióro, daléj smarować argumenta jak można pieprzne i słone dla obydwóch.

Nazajutr, puk, puk! kto? szlachcic. No, bywajże zdrów, myślę sobię — pewno o tę pożyczkę — bo po cóżby innego? Gadu,

gadu; coś nic nie wspomina. Częstuję go fajeczką. Pali, tytuń chwali, bursztyńki mu się podobają; chodzi po izbie, a coraz to mi na stolik z papierami spójrzy. Ciekawy ptaszek, myślę. Zastępuję od stolika jak mogę, aż nareszcie :

— No! cóż, łaskawco, przyjąłeś wyzwanie?

— Tego się nie odmawia, panie! odpowiem.

— Jakto, już masz co?

Zląkłem się — no, myślę, to już pożyczka; ale udaję że nie rozumiem :

— Jakto czy mam co; albo to emigrant nie jest jak Dyogenes albo apostół? *Omnia mecum porto,* ale wszystko na pańskie usługi.

— Nie, ale cóż z majorem, jakże tam?

— Aha! teraz rozumiem. Zacząłem, ale to trzeba obkrzesać troszkę, bo szpakami karmiony major.

— Ale, ale, dawno się też pan z nim zna?

— Pierwszy raz w życiu wczoraj go widziałem.

— A jakże pan wié że major?

— Alboż nie wiesz, z ich stron każdy, aby się tylko dobrał nowego kapelusza, parasola i zegarka z łańcuszkiem, to major. A z mowy widziałem że zkądciś od Szarogrodu czy od Bejsagoły.

— A, co to, to zabawne!

— No, no, przeczytaj mi też coś mu napisał, bo to, mosanie, i mnie i każdego dobrego Polaka obchodzi; to tak być nie może, niepowinno!

— Co to takiego, panie?

— Piękna mi rzecz! jeszczeby tego brakowało, żeby nam się emigracya na kark zwaliła — bo i my mamy swoich; a wiesz jakeśmy ich pokochali za 46^{ty}, za 48^{my} i za— no prawda w 53^{im} przecie ich nie było — każdemu należy się słuszność. Proszę cię, łaskawco, słuchamy!

Czekaj ptaszku, myślę sobie, złapię ja i ciebię, jeśli nie na lep, to na zwierciadłko. I czytam. Szlachcic słucha, pomuskuje i wąsa; jak skończyłem;

— No, łaskawco, wiesz co! tego w kieszeń nienależy chować, bo to los licznych rodzin do tego przywiązany; tego lekce sobie ważyć nie można. Ja sam mam familię, ale mam też krewnych i w emigracyi. Niech się lepiej nie ruszają, niech siedzą! póki jest nadzieja, to jest i obowiązek.

— Ależ i ja mówię żeby siedzieli tylko z innych pobudek.

— Wiesz co! różnemi drogami w prawdzie dążemy, ale cel

ten sam : *viribus unitis,* mówi nasz cesarz; podajmy sobie ręce i działajmy : *salus œtatis suprema lex esto!* Ja ci, łaskawco, więcéj powiem, ja się maskować nie umiem : trzeba żeby to czytali, to trzeba wydrukować.

— Panie mój ! drukować, a to na co! nikt nie będzie czytał; a my się tu dobrze znamy !

— Wierz mi, proszę cię, czy z jednéj czy z drugiéj strony, ludzie przeczytają.

— Dobrze panie, ale i naszą we trzech rozmówkę trzebaby dodać.

— No wiesz, trudno — to zawiele tego będzie, a główna rzecz na interesie straci. Potém, mosanie, ja mam serce jak gołąb'; to jakto pisać o tém co człowiek, w uniesieniu miłości dla kraju, czasem z ust wypuści.

— To ja tak napiszę żeby tylko sucha prawda, naga nawet została, a zupełnie osobno — to się zda może na co.

— Wiesz łaskawco, i to za wiele, bo to mosanie, i prawda w oczy kole — a my mamy i tak już tylu politycznych nieprzyjaciół — nie łaskawco, nie wystawiaj mię na wyższy teatr, ja i w moim zakresie choć skromnie, choć tego i nikt ocenić nie umie, na nieszczęście, ale dla kochanego kraju pracuję; bo my to jednak synowie téj dzielnéj rycerskiéj Polski.

Ależ z majorem i z Panem rozmówkę czy gawędkę muszę napisać, a trundno we dwóch było tak długo rozmawiać?

— Więc kogoś trzeciego sobie stwórz, i powiedz że to szlachcic z Galicyi i kwita, a na cóż mnie kompromitować i poświęcać? Napisz tak, to będzie lepiéj, a trzeba żeby to oto czytali nasi, to ich może i powstrzyma.

— Ale jacy nasi, Panie? czy wasi, galicyjskie żydki? czy wasi galicyanie, obywate? czy też nasi emigranci?

— Juścić ma się rozumieć, że w Galicyi amnestyi nikt nie bierze, bo nie potrzebuje, ja mówię o emigrantach, o naszych Polonusach.

— Oj! kto wie Panie, czy i niepotrzebuje? i na teraz i na późniéj, dziś przed własném sumieniem — a jak Bóg da tam kiedyś, na jakiéj kartce kroniki lub historyi! Bo to i Targowica myślała że się to nie wyda, i Zborowski i tylu innych!

— No, co o tém to potém, zanim tłusty schudnie to chuyd i zdechnie, mówi przysłowie, a co tam się nam turbować o to co będzie kto pisał albo czytał? Ale mi dasz jeden exemplarz?

— Dam i dwa, abyś tylko Pan nie mówił że to ja mu dałem darmo, albo że go nie mam za patryotę.

— A tożby dla czego nie mówić?

— Boby gotowi rozgadać że czytasz rzeczy zaraźliwe; i że lepiejbyś Pan zrobił, gdybyś tę parę cwancygów na szampana schował lub na co lepszego obrócił.

— A to kara bozka z twémi wymówkami, alboż oni mię nie znają, że nie na jedno podobne, a i większe głupstwo, człowiek i więcéj wyrzuci? Co o to, to się mosanie nie turbuj, wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi.

— Mile za kompliment dziękuję — ale widzę Pan po starym zakonie: oko za oko, ząb za ząb; nowy zaś tylko o oddawaniu tą samą miarką zalecał, a zdaje mi się przynajmniéj, żem rozmierzył sumiennie ze strychem, jeśli nie z czubem.

Musiałem tedy chcąc niechcąc dotrzymać słowa, wydrukować, ale co mi kłopotu dały te dwa polskie kameleony, nikt nieuwierzy, i żeby to na tém koniec, toby jeszcze — ale ja myślę, że ja od Majora za exemplarz, chyba kapaniną wybiorę, jeśli pierwéj nie pryśnie do domu, a co tych dwóch szlachcica cwancygów to i nie zobaczę; bo szlachcic krętacz, gotów sobie kazać zapłacić za to, że na cenzorowaném tak niewygodnie siedział, a i siedzi.

Czego się najbardziéj boję, to żeby czasem w zbożu dla emigracyi i tych cwancygów nieschował, jak Józef puhar braciom z Egiptu; bobym jeszcze miał jaki ambaras za fałszywą monetę, kiedy mówi, że aż się rumieni od kłamstwa i wstydu. Ale skoro słowo się wyrzekło, a bazgranina ta, już na samego Ś. Jana-Chrzciciela była u drukarza, jak owa niegrzeczna szlachcica kobyła, za Pragą, uwiązana do płotu; co robić, stało się! — to i trzeba puścić na świat i jedno i drugie.

Żebyto ten Jan-Chrzciciel i szlachtę oprał, i emigracyę upomniał, i żydków galicyjskich pochrzcił na nowo, a nawet i całą bez różnicy Litwę i Koronę, w pierwszéj nowéj potrzebie na majorów wyawansował; jeszczeby nie żal czasu i atłasu, a inaczéj to żal się Boże tych cygar cośmy w Tuliery wypalili.

Może kto spyta, a gdzież to co czytałeś u siebie szlachcicowi? bo Tylko co z igły, to tylko powieść, pamflet czy prolog do czegoś; gdzież ten tułacki liryzm? Toćby przecie szlachcic nie robił z siebie ofiary *pro publico bono*, dla tego żeby sam stał przy kunie.

Widzieliśmy też że i major rzucił założenie: Co tu robić,

komu ufać, czemu wierzyć; trzeba koniecznie było na te warunki przyzwoicie odpowiedzeć, i to zaraz, a bez satyry.

Moi Rodacy, skoro tylko czas i środki na to pozwolą; bo ktoś z Korony co tak trzepał z kurzu i zającéj turzycy Chrobaty, Rusy, Drewlany i Polany; powinien też i swoją pokazać tarczę, czy przy téj ostréj włóczni Saryusza «to mnie boli;» ma też i na przyłbicy, niemówim już strusie, bo to rzadka rzecz, ale choćby i gęsie jakie piórko ze skrzydła hamburskiego humorysty, którém on dopóty pleśń z ospałych Niemców zmiatał; aż się przecie w r. 1848 zdobyli na zmuszenie swego majestatu, do salutowania przed wleczoną w trumnie rewolucyą!

I nieżal mu było, bo to on na to kazanie tak chętnie dzwonił — i śpiewał sobie, przedrzyźniając Virgilego: *ego vobis hæc otia feci!* — Aż tu Niemiaszki zwlokłszy się jak na jarmak do frankfurtskiego Babelu; daléj rozprawiać czy Hohes-zollern, czy Hapes-zollern ma u nich ostatecznie zawładać? A miał stworzyć taką silną flotę, żeby Anglią samę najprzód upokorzywszy, Amerykę sobie zdobyć, i tam ogłosić swoje odwieczne verbum: *ubi bene ibi patria.*

Nasuszywszy mózgów, kuflów, a fajek napaliwszy co niemiara: wyprawili sobie tak dobrze już języki, że jednomyślnie babelski zapadł wyrok; aby z pomocą historyi, filozofii i filologii przerabiać żyto na kapustę, a pszenicę na kartofle; i zrobić z nich tak olbrzymi melszpajs; żeby o nim już na wieki wieków, fajkę kurząc a popijając piwem, z Kantem, Heglem i Szleglem, mogli wykształcać Pana Boga do nieskończonéj doskonałości; i zrobić go nieśmiertelnym przez dajczerski Bunt.

Cóż kiedy biedny humorystyk w nadmiarze radości, zobaczywszy tak świetny skutek swéj pracy, a tak pochlebny dla jego ambicyi, i narodowych nadziei; nałożył z książek w izbie ogień, pozatykał szpary i zadusił się własnémi laurami — a czemu łatwo uwierzyć, bo to są bobkowe liście co tak nam w sosie pachną. Do czego to jednak ambicya prowadzi, kiedy kto chrześcianinem być nie chce i do spowiedzi nie chodzi?

Wracając jednak prędko z Niemiec i Frankfurtu, daję wam na co się moja chudoba może zdobyć — dobre czy złe, na co kogo stać. Ale kiedy idzie o to jak myślą i Koroniarze; chociaż, jeśli mówią a nie robią, na djabla się też, Panie odpuść, i to zdało; ale jak nie można lepiéj, trzeba aby krzyczeć; bo to jak ludzie krzyczą; to jeśli nie wilk, to przynajmniéj jakie cudze

psisko być musi — a jak nie bocian na węże; to aby strach na wróble niech będzie, a słowa dotrzymać należy.

A żyjemy do tego w czasach nadzwyczajnie osobliwych; — albo koniec świata nas czeka, albo jakieś przeobrażenie, i ja temu zaczynam mocno wierzyć; bo ot co czytałem niedawno w gazecie bardzo poważnéj:

« W jedném miasteczku, Saintes, zdaje mi się, panienka mająca lat już jedenaście z górą, miała jakiś przypadek, oto skoczyła jakoś nieostrożnie, czy padła; dość że burmistrz, proboszcz, żandarm i nauczyciel w wielkim byli kłopocie, a rodzice biédacy najbardziéj. Co tu zrobić z aktem urodzenia, chrztu i spisu ludności? a zamyślił się i bakałarz, bo rzecz nie lada; z panny zrobił się chłopiec, i to, jak mówią, co się zowie chłopiec; a jak tu go teraz do szkoły przyjąć, jak on będzie konjugował i deklinował na męzki rodzaj? »

Jest też wiadomość literacka: « Moskale wcieliwszy do Państwa swego Czudy, Mordwę i Muromę, odziedziczyli z niémi i popęd do cudów tak dziś częstych, że świętych na wyższe wszędzie posuwają stopnie z komendą — że Mordwa wlała w nich chęć do mordów, choćby tylko kułakiem; a Muromcy, tak jak Limuzyni tutaj, do murowania koszar, więzień i kazamatów. » Nie bardzo to wszystkiemu i wierzyć co piszą, ale tak piszą.

Jeśli ja dodam tu jescze kilka podobnych zdarzeń, a ujrzycie czy nie ma przyczyny i lękać się i modlić; naprzykład:

Błogosławieństwo Boboli i Mikołaja; a

Krucyata grzeszna w Nowiu, na Pohańca tararskiego.

Ewangielia opowiadana przez Janczarów i Ulemów; a

Uwieńczenie Focyusza przez Gotów i Wandalów w Mnichowie na weselu.

Cudowne zmartwychwstanie niepokojącéj Krynoliny, obrączek; a i

Bunty angielskich kozaków, schwaconych ostem, różą i głogiem, przeciwko miesiącowi.

Apoteoza uniwersalna nierogatego bydła; oraz

Wysmukłych jak pyszczek mysi, kul z rogami i ogonami.

Uznanie rozboju z Bożéj łaski, a własności złodziejstwem.

Listy apostolskie do Warszawian i Lwowian, o grzech przeciw Duchowi świętemu; a

Powstanie siczy kozackich przeciw carskim popom że są bez Ducha świętego.

Męztwo, cierpliwość i dążenie do monarchij, włoskich Karbonarów, Prezydentów; a

Wybrykiwanie polskich rojów w czarno żółtych i ciemnozielonych półkaftanach.

Mówią tu cichutko ale to z pewnością: że Rotszyld zostanie królem ateńskim, a Otton konetablem czy lord-mairem londyńskim, tylko że Rodszyld chce za grubego dodatku, a i żal mu tego Syonu handlarzy opuścić gratis, i nie mogą się zgodzić na tę żelazną koléj dla obudwóch. Choć to i Otton ambitny i Rodszyld magnat co się zowie dziś na świecie; ale Rossya się boi żeby po Byzancyum nie siegnął, i wolałaby mu dać jaką dywizyę kozacką w komendę, — czy też przyjmie? — pewno przyjmie, bo to Rotszyld! *sic itur ad astra!*

Dopóki więc czegoś się jeszcze dziwniejszego a i pewniejszego nie dowiemy; bądźcie rodacy cierpliwi aż o tém zaraz objaśni was przychylny i uniżony sługa,

Ktoś tam sobie,

Zdjął w Paryżu 24 Czerwca, w dzień Ś. Jana, 1856 r.

POWIEŚĆ ZAPOROŻCA Z DOBRUDŻI.

Vczorajszego dnja był z nami na polovanju Achmet Geraj, ośmnastoletni młodzjan, potomek v prostéj linii Dekalet Geraja Hana Krymu i Budzjaku — a mjeszka v domu danym temu ostatnjemu Hanovi, przez Sułtana Tureckjego. Jest to bardzo poetyczna postać; zgrabny, dżjarski i odważny — a zakochał się v Cygance zvanéj tutaj Kokona Ivanka, o lat kilka od njego starszéj. Mówją że to jest cóka Generała moskjevskjego, który ranny pod Karnabatem v 1829 roku, leczył się tu — rozkochał się v matce Kokony Ivanki; a umjerając przekazał dla jéj dzjecka fundusz dość znaczny.

Ta czysta Esmeralda mimo że ze krvi szlachcica moskjevskjego, odzjedziczyła po matce dzivną sympatyją do njedźvjedźja, i skoro mjała lat 14. naparła się aby jéj konjecznje kupjono także njedźvjedzja z pjenjędzy przekazanych od Ojca Generała, i czy tego samego czy innego njedźvjedźja dotąd vodzi jak i jéj matka.

Generał moskjevski umarł v domu Ojca Achmet Geraja którego vyznaczył vykonavcą testamentu — ztąd stosunki i żażyłość mjędzy Kokoną Ivanką a Achmetem i pokochanje się młodéj pary.

Matka i rodzina Ah. Geraja, aby przervać romans; vysłali młodego Geraja z Baszy-buzukami pod Kalafat — z tamtąd poszedł pod Sylistryją gdzje się odznaczył i został porucznikjem.

V vypravje krymskjéj będąc rannym pod Eupatoryją, vrócił do domu i znovu romans się odnovił — ale vszystkje zabjegi Geraja, czysto uczucjowe, rozbijają się o dzivactvo i upór Kokony Ivanki, która za nic v świecje rozstać się njechce ze svym njedźvjedźjem.

Codzjeń młody Geraj vyjeżdża na polovanje z taranto pstrokatym chartem, potomkjem psjarni jego możnych praojców — na kasztanovatym tatarskim bachmacje, z sivym sokołem na kuli od sjodła, i v povrocje znajduje codnja Kokonę Ivankę, przed Karnabatem na mogile jéj Ojca Generała. — Choćby njevjedzjeć ile było ludzi; on vypuszcza konja cvałem, przypędza do njéj, zsjada i z nją rozmavja.— Koń stoi jak brat obok njedźwjedzia, którego chart vita skomląc radośnje, i bavją się ve troje jak najlepsi przyjacjele — sam to vczoraj podzivjałem własnémi oczyma, i o mało co ulubjony chart naszego Dovódcy Karakusz (czarny ptak), njeopłacił śmjercją svéj poufałości, chcąc njedźvjedzja jak zającą napadać.

Generał mosk. nazyvał się Knjaź Madatov, dovódca jednéj huzarskjéj dyvizyi — Kokona Ivanka vygląda jakby cień z nadpowjetrznego świata — cjągle śpjeva i gra na bębenku, tańcząc ze swoim njedźvjedźjem, po polach, po mogiłach, po górach a i po ulicach; ale pjenjędzy brać njechce od nikogo, bo jest dość bogatą z zapisu Ojca; ma dom, sługi; a ubjera się v żyve, jaskrave barvy i złoto.

Turcy ją mają za dotkniętą palcem bożym i szanują tak jak vszystkich pomjęszanych, i nigdy navet śmjechem jéj njeobrażą.

Povjadają: że Ałłach ukarał jéj matkę, iż będąc muzułmanką dała się pokochać moskalovi njeprzyjacjelovi ich vjary — córka zaś siłą tajemną przykuta jest do njedźvjedzja, bo dusza Madatova v njego bez vątpjenja vstąpiła, — nazvali ją Ivanką, bo u Turków każdy moskal Ivan. Utrzymują oni z cała povagą, że Ivanka temu njevinna, że v njéj należy szanovać vyrok bozy — i prosili Dovódcy naszego; aby to uczucje litości nad njeszczęścjem i uszanovania voli bożéj; natchnął svojéj komendzje całéj, aby się z Ivanki njenajgravać.

Njedźvjedź szary, ogromny i piękny, jak dotąd njevidzjałem, jest, jak mi mówją, ten sam v którego przeszła dusza knjaźja Madatova — i on to njepozvala Ivance iść za Geraja, gdyżby się już byli pevno pobrali; gdyby nje jéj uporne dzivactvo, zostać sobje volną, svobodną ze swym ulubjonym njedźdviedzjem. Byva ona u matki i rodziny Geraja, które ją bardzo dobrze u sjebje przyjmują, a navet Ivanka vspjéra svémi pjenjędzmi tę hisroryczną rodzinę.

Młody Geraj takoż jak szalony — cjągle szuka ruchu i vrzavy, cjągle śpieva, zajeżdża konje, albo bankjetuje z naszémi oficerami — a taki zgrabny, dzjarski i przyvoity, jak najlepiéj vycho-

vany dobry szlachcic polski. Turcy i jego nazywają *delikan* (szalona krev) utrzymując że jest także dotknięty palcem bożym, za karę; że jego praojciec, muzułmański Krym, vydał moskalom; że to dla tego kocha się v córce mosk. Generała, i codzień musi patrzeć na njedźvjedzja, tę jedyną zaporę jego miłośnych marzeń. Pocjeszają nas jednak że to wszystko się skończy; jeśli Krym będzje odebrany Moskalom i przez Sułtana oddany rodzinje Gerajów; bo vóvczas Bóg cofnje przeklęstvo które zavjesił nad głowami młodych ludzi i duszą Generała.

Kokona Ivanka vróży Hasibovi drogmanovi, szlachcicowi bośnjackjemu, i kapitanowi J... .. że ztąd wkrótce wyjdzjemy do Jambółu i tam dni 15 zostanjemy, z Jambółu pójdzjemy do Islimnii gdzje drugje 15 dni zabawjémy; z tamtąd przez Horgrad pójdzjemy do Sylistryi, na brzegi dunajskie, a v przecjągu sześcju mjesjęcy pozyskamy Besarabiją na rzecz Sułtana.

Oto są sceny naszego tu życja garnizonovego; ani książek, ani gazet, tylko prosta natura, povjeści i anegdoty kozackje. Są tu u nas i literaci, ale, jak to mówią, lafyryndy; jeść, pić, gavędzić, dyliżansami jeździć, na to zgoda; ale na polowanje, na harce, na mustry ani rusz — prędzej vilka od sjodła złapje, niż na stepje, ale gavędzić, vysoko politycznje umjeją, i po całych nocach dyskutnją.

Najlepjéj że dowodzą, iż Kraków był mjastem njemjeckjém— że tam Niemcy już byli trochę vprovadzili demokracyi na potępjenje arystokracyi polskjéj; że germanizmus już tvorzył tiers-état, a latinizmus je ośvjecał; ale szelma szlachta ani mjeszczanom pasóv nje dała nosić na kapocje, bo to tylko jéj wolno było; ani się uczyć nje chcjała.

My słuchamy, śmjejemy się, ale P....., krakovjak rodzimy, ledvje nje zvaryjuje; v nocy z namjotu attak na gavędzjarzów z batożkjem przypuszcza; i njejeden już od njego oberwał, bo mu się zdaje że i Kraków i jego już chcą v Njemcy zapisać.

Na dobitek pan X. povjada że njedawno odkryli literaci, iż v Krakovje, jeszcze przed Pjastem, był obrany królem polskim Abraham, prochovnik żyd; lecz że on na svojém miejscu Pjasta dał Polakom — że dotąd v Kruszvicy stoi dom Abrahamka; a dokumenta vszystkie są spisane po hebrajsku — i że ztądby należało vnosić, że jakiś Izraelita będzje znovu vybrany jednomyślnością, i da ze swojéj ręki Polakom króla — a że to ma być obok rozdymania ducha, cały enigmat Tovjańskiego bractva.

Ale kozacy się vścjekają na podobne kombinacyje; i bez Vernyhory, nic njedają robić ani w Polsce, ani na Rusi, ani na Litvje.

Tém sje tu bavią: z książkovych czyli uczonych przedrvivają, ale czasem dovcipnje, vesoło, a zawsze przyzvoicje: bez kłótni, bez pojedynkóv, co nam miléj niż hałaburdy, pijatyki, lub gry v karty, nasza żyłka.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA W TORUNIU

50

373716

Biblioteka Główna UMK

300000984364